

*A niechaj narodowie wždy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, lecz swój język mają.* Tą złotą sentencją rodem z renesansowej Polski i twórczości Mikołaja Reja z Nagłowic napelnia się nasze umysły już od najwcześniejszych lat szkoły podstawowej. W wersjach sparafrazowanych powtarzamy ją sami, oglądamy w reklamach w telewizji i na billboardach. Nigdy jednak, może poza szkolnymi lekcjami literatury, nie zastanawiamy się co tak naprawdę znaczą te słowa, co się za nimi kryje, czy chodzi o coś więcej niż język? Przecież prócz języka mamy swoją mitologię, historię, kulturę, w pewnym stopniu sztukę, muzykę...

I zawsze tą sztuką chcieliśmy się móc pochwalić czy popisać. I nie tylko my. Każdy przecież chce być doceniony, czy też zauważony przez innych. Nie tylko z resztą w wymiarze jednostkowym, ale także ogólnonarodowym. Już w połowie XIX wieku ta idea przekształciła się w pełnowymiarowe Wystawy Światowe, na które zjeżdżali wystawcy z całego świata, by dzielić się osiągnięciami, wzajemnie chwalić czy szukać inspiracji. Poszczególne kraje prezentowały na nich swój dorobek kulturalny, techniczny, naukowy, zadziwiały zwiedzających wymyślnymi pawilonami i ich wystrojem. Do dziś jako sztandarowy przykład wielkości owych Wystaw przywołuje się (już niestety nieistniejący) Crystal Palace projektu skromnego angielskiego architekta i ogrodnika – mówiąc w największym uproszczeniu gigantyczną szklarnię z tafli szkła osadzonych na żelaznych ramach, która była w stanie pomieścić w swoim wnętrzu całe drzewa. Pomyślmy tylko... 33 metry wysokości, długi na ponad pół kilometra. A to nadal był rok 1851, kiedy to o wszelkich udogodnieniach technicznych jakimi dziś dysponujemy nikomu się nawet nie śniło.

Ale w sumie nie o tym miało być, zagalopowałam się odbiegając od zasadniczego tematu. Jak już wspomniałam na samym początku, celem Wystaw Światowych było – upraszczając – pochwalić się swoimi najnowszymi osiągnięciami. Z biegiem lat wynalazki były coraz precyzyjniejsze, sztuka bardziej awangardowa, technika zaawansowana, a kultura tylko w niektórych przejawach wykazywała swoją odrębność i to tą odrębność prezentowano. Od lat '60 XX wieku zamiast Wystawy Światowej zaczęły odbywać się wystawy EXPO. Nowa nazwa nie przyniosła jednak zmiany w ogólnej formule. Nadal dążono do jak najlepszego i jak najpełniejszego zaprezentowania się.

Tegoroczne EXPO, odbywające się w Szanghaju, nie stanowi odstępstwa od tej reguły. Również w tym roku chcemy by o nas mówiono – w tym pozytywnym sensie – i żeby się nam udało wybić ponad ogólny poziom i wzbudzić swego rodzaju zazdrość we współwystawcach. Tym razem Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości planując promocję oraz zapoznanie azjatyckich widzów z (choćby pobieżnie zarysowaną) historią Polski postawiła na nowoczesną technikę złożoną na ręce kogoś, kto już się w „dalekim świecie” wybił – z propozycją współpracy zwrócono się do Tomka Bagińskiego. Tak. Dokładnie tego Tomka Bagińskiego. Tego samego, którego nominowaną do Oscara Katedrę oglądaliśmy z zapartym tchem, podziwiając kunszt i wyobraźnię jej autora. To było kilka minut. Ale jakie kilka minut!

Teraz też mamy kilka minut. Żeby być precyzyjną, mogę stwierdzić, że dostępna w Internecie animacja liczy sobie 8 minut i 30 sekundy. Co się na te minuty składa? Krócej będzie chyba stwierdzić co się NIE składa. Otrzymaliśmy wizualny poemat, kolaż obrazów i dźwięków, może nawet (choć nie wiem czy to nie zbyt „na wyrost”) symfonię. Pomiędzy najważniejsze momenty naszej historii, zaczynające się od legendarnych czasów historii Lecha, Czecha i Rusa, a kończące na wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej, autor wplótł symbole, skojarzenia, miasta, ludzie, charakterystyczne budowle, gesty... Wszystko co buduje naszą świadomość, pokazuje kim jesteśmy i jakie miejsce zajmowaliśmy i zajmujemy

w świecie i Europie. Dlaczego w ogóle takie połączenie było możliwe? Nie od dziś wiadomo, że od obrazu (nazwijmy go w uproszczeniu filmem) widzowie wymagają wrażeń, chcą zostać zaskoczeni, chcą odpłynąć w inny świat, zachwycić się obrazem, muzyką i uczuciami. Prawda historyczna jest pretekstem by pokazać nasze wnętrza, to co nas wyróżnia i czym się charakteryzujemy. Nie jest to dosłownie „Historia Polski”, a raczej zbiór wrażeń, nastrojów, klimatu – tego „czegoś” co sprawia, że jesteśmy kim jesteśmy. Jednak nadal nie jest to fikcja. Nad tą stroną prezentacji czuwał prof. Henryk Samsonowicz. Nazwisko samo w sobie będące kawałkiem historii...

Pragnę jednak uspokoić wszystkich, którzy doczytawszy tych słów zawołają wielkim głosem, dlaczego w ogóle mówimy o „historii”, a nie np. o „mitologii” czy „autorskiej kreacji”. Prawdę historyczną mamy. A podkolorowana mitologia? Czy ktokolwiek z Was, Drodzy Czytelnicy, chciałby oglądać nudną kronikę, pełną dat i faktów, podczas gdy dookoła rozwijałyby się feeria barw i dźwięków najnowocześniejszych technologii całego świata? Gdy wokoło tętni życie i odnosimy wrażenie, że należałoby patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie i być we wszystkich miejscach na raz? Ja raczej nie – niestety „nie mam serca” do historii przedstawianej w sposób suchy i pozbawiony emocji. A co Wy tym myślicie? Gdzie, Waszym zdaniem, (w sytuacji takiej wystawy) należy postawić granicę między mitologią i historią? Jak prezentować się całemu światu? Czy taka prezentacja wystarczy? Czy na Dalekim Wschodzie przyciągniemy uwagę widzów animacją rodem – jak ludzie komentują w sieci – z intra do najnowocześniejszej gry komputerowej? Czy w ogóle to właściwa forma do mówienia o historii? Czy spływamy temat i odsuwamy się od tego co poważne?